Świadek Sierpnia '80
Osobiste wspomnienie z narodzin „Solidarności”

SIERPIEŃ 1980. ZACZĘŁO SIĘ NA MOICH OCZACH

Każde pokolenie wchodzi w dorosłość z przekonaniem, że świat stoi przed nim otworem - że wszystko jest jeszcze możliwe, bo nic złego nie zdążyło się jeszcze wydarzyć. Tak właśnie czułem się latem 1980 roku, mając osiemnaście lat: świeżo przyjęty na Wydział Budowy Okrętów Politechniki Gdańskiej, pełen planów, które rzeczywistość miała dopiero nie raz zweryfikować. Nie wiedziałem jeszcze, że stoję na progu jednej z najważniejszych chwil w historii Polski - i że będę jej świadkiem z pierwszego rzędu.

Zanim zdążyłem usiąść w sali wykładowej, mój studencki żywot zaczął się wśród zgiełku Stoczni Gdańskiej im. Lenina - pośród stalowych żurawi przenoszących wielkie blachy, huku i łoskotu dobiegającego z hal i nabrzeży, wśród ciężko pracujących ludzi, którzy już wkrótce mieli odegrać główną rolę w dziejowej zmianie systemu. Odbywaliśmy obowiązkową praktykę przedstudencką - wśród imadeł i ostrego zapachu ozonu uczyliśmy się cięcia, obróbki i spawania stali.

Brama Główna Stoczni Gdańskiej im. Lenina z tłumem zgromadzonym przed wejściem.



Rankiem 14 sierpnia 1980 roku codzienny zgiełk stoczni, słyszalny w całej okolicy, zaczął powoli cichnąć - aż zapadła osobliwa cisza, wypełniona już tylko odgłosem marszu robotników. W rękach nieśli ręcznie wykonane transparenty: kawałki tektury przybite do drewnianych kijów, bez żadnych ozdób, z żądaniami przywrócenia do pracy Anny Walentynowicz i podwyżki płac. Nasz instruktor spanikował - bał się, że straci kontrolę nad powierzonymi mu studentami - i kazał nam pochylić głowy nad stołami, nie zwracać uwagi na to, co działo się na zewnątrz.

Władza nie miała pomysłu, co zrobić z grupą studentów pierwszego roku, którzy znaleźli się w samym środku robotniczego buntu. Żeby odizolować nas od strajkujących, załadowano nas do autokarów i wywieziono na wieś, do PGR-u. I tak - kiedy pod Bramą nr 2 rodziła się historia - my sortowaliśmy cebulki tulipanów. Nazajutrz, w przekonaniu, że protest rozejdzie się po kościach, przywieziono nas z powrotem pod bramę. Ale strajk trwał, a brama była zamknięta. Odesłano nas więc na pola raz jeszcze. Dopiero gdy stało się jasne, że to już nie epizod, lecz strajk okupacyjny ogarniający cały region, uczelniana biurokracja skapitulowała. Przez radiowęzeł w akademiku popłynął komunikat: pakować się i natychmiast wracać do domów.



To, czego byłem świadkiem, nie było zwykłym protestem. Strajk w Stoczni Gdańskiej - choć nie pierwszy tamtego lata - poruszył cały kraj. Pod przewodnictwem Lecha Wałęsy, skoordynowany przez Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, przerodził się w ogólnopolski ruch, który zakończył się podpisaniem Porozumień Sierpniowych. Tak narodziła się „Solidarność" - pierwszy niezależny związek zawodowy w całym bloku sowieckim.

Kiedy w październiku 1980 roku wróciliśmy do Gdańska, weszliśmy do miasta odmienionego przez tamte wydarzenia. Dostałem miejsce w DS 8 „Koga" - dziesięciopiętrowym akademiku dla studentów budowy okrętów, nazwanym na pamiątkę średniowiecznego statku kupieckiego. Wśród okolicznych, poniemieckich trzypiętrowych domów studenckich „Koga" wyrastała majestatycznie - jak maszt żaglowca albo bastion; jej sylwetkę widać było już z miejskich torów kolejowych. Najwyższe piętro było dla nas jak namiastka wolności: wysoko nad wszystkim, z dala od czujnych oczu portierni na dole. Na parterze studencki klub stał się siedzibą świeżo powstałego Niezależnego Zrzeszenia Studentów. To była pełnia „karnawału Solidarności". Cenzura nagle zelżała; w pokojach na dziesiątym piętrze z rąk do rąk szły powielane teksty drugiego obiegu, za które jeszcze niedawno groziło więzienie. Czuło się w powietrzu, że historia się przełamuje.



Jednym z trwałych symboli tamtego zrywu stał się krzyż. Już 17 sierpnia 1980 roku, przed Bramą nr 2, strajkujący robotnicy i mieszkańcy postawili drewniany krzyż - by uczcić pamięć ofiar Grudnia 1970 roku, robotników zastrzelonych dekadę wcześniej. Był to znak, że ten protest ma także wymiar duchowy: pamięci, wiary i nadziei. Kilka miesięcy później w tym miejscu stanął pomnik trzech stalowych krzyży, z zawieszonymi u szczytu kotwicami - symbolem nadziei - i słowami Czesława Miłosza wykutymi u podstawy.

I właśnie z tym krzyżem wiąże się chwila, którą wspominam ze szczególnym wzruszeniem. Na początku 1981 roku Andrzej Wajda kręcił w Gdańsku „Człowieka z żelaza" - kontynuację „Człowieka z marmuru", opowieść o Sierpniu '80 i narodzinach Solidarności, uhonorowaną później Złotą Palmą w Cannes.

Do scen zbiorowych szukano statystów; zatrudniono grupę nas, studentów z DS 8. Tak znalazłem się w scenie stawiania właśnie tego drewnianego krzyża przed bramą stoczni. Moja twarz mignęła na ekranie na sekundę, może dwie - żaden ze mnie aktor, zwykły statysta w tłumie.

Do dziś nie potrafię nazwać tego inaczej niż zrządzeniem losu. Najpierw byłem prawdziwym świadkiem tamtych wydarzeń - stałem w stoczni, gdy się zaczynały. A kilka miesięcy później stanąłem w filmie, który te same wydarzenia, w tym samym miejscu, opowiadał całemu światu. Historia i jej filmowe odbicie spotkały się w jednym punkcie - a ja, przez przypadek czy przeznaczenie, znalazłem się w obu.



Fragment muru Stoczni Gdańskiej; na murze siedzą młodzi ludzie.

Euforia nie trwała długo. Jesienią 1981 roku studenci w całej Polsce ruszyli do strajków okupacyjnych, domagając się autonomii uczelni. Na Politechnice Gdańskiej zajęcia stanęły; korytarze i sale wykładowe zamieniły się w kwatery mieszkalne. Trzymaliśmy zmianowe warty przy bramach, a czasem towarzyszył nam strach, że Milicja Obywatelska razem z ZOMO wtargnie na uczelnię i spacyfikuje strajk. Dla nas, młodych ludzi, nie był to łatwy czas.

A potem przyszła niedziela, 13 grudnia 1981 roku. Ściśnięci w pokoju kolegi w Kodze, w milczeniu wpatrywaliśmy się w mały telewizor, gdy generał Wojciech Jaruzelski ogłaszał stan wojenny. Telefony zamilkły, ulice wypełniły patrole, uczelnię zamknięto. Znów trzeba było się pakować.

Nastały ciemne dni - internowania, aresztowania działaczy, wszechobecna podejrzliwość. Opór jednak nie zgasł; przyjął tylko nowe, cichsze formy. Demonstracje odbywały się trzynastego dnia każdego miesiąca, na pamiątkę nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku.

Widok z okna akademika (Dom Studenta „Koga", DS 8) na pobliski plac budowy, na którym oddział ZOMO robi sobie nieoficjalną przerwę w patrolu; scenę uchwycił student z okna.



Przybierały postać mszy za ojczyznę, po których szły spontaniczne marsze, rozrzucanie ulotek i tzw. przerwy milczenia. Ludzie gromadzili się i składali kwiaty w miejscach pamięci - pod krzyżami przy stoczni i przy pomniku króla Jana III Sobieskiego na Targu Drzewnym.
Codzienność była szara: kartki na żywność, puste półki w sklepach, poczucie, że na lepsze życie nie ma co liczyć. A jednak ziarno wolności, zasiane w Sierpniu 1980, kiełkowało powoli w głębi naszych serc. W najczarniejszej godzinie niosły się nad Polską słowa Jana Pawła II: „Nie lękajcie się". Trzy słowa - a usłyszał je cały naród. Niektórzy z nas zaczęli po cichu obmyślać, jak ułożyć sobie życie z dala od komunizmu - w kraju, gdzie można żyć normalnie, zarobić na chleb i nie bać się własnego cienia.

Od tamtego sierpnia minęło dziewięć lat. Widziałem początek - i doczekałem finału. Po drodze moje plany się zmieniły: droga inżyniera okrętowca nie była mi pisana. Przez rok uczyłem matematyki jako niewykwalifikowany nauczyciel w wiejskiej szkole, a potem ukończyłem studia nauczycielskie na kierunku matematyka. To właśnie w 1989 roku, w roku mojego dyplomu, Polacy poszli do pierwszych częściowo wolnych wyborów, a Solidarność wygrała je bezapelacyjnie. Kilka tygodni później, 9 lipca 1989 roku, wsiadłem z żoną do samolotu z Warszawy - z dwiema walizkami i trzystoma dolarami na dwoje.

Warto tu coś wyjaśnić, bo często sądzi się, że emigranci przyjeżdżają z pieniędzmi. My nie. Bilety kupiliśmy za sumę pożyczoną od rodziny, a i te trzysta dolarów było pożyczką. Nie przylecieliśmy do Kanady z majątkiem - przylecieliśmy z długiem. A jednak już w pierwszych miesiącach, zaczynając wszystko od zera, zdołaliśmy go spłacić.

Niedługo potem, gdy stawialiśmy pierwsze kroki na kanadyjskiej ziemi, z radia popłynął „Wind of Change" zespołu Scorpions. Dla mnie zabrzmiał jak ulga - jak potwierdzenie, że świat naprawdę odwraca się od komunistycznego „raju" ku wolności.

Dziś, z perspektywy prawie czterech dekad, wiem jedno: tamten młodzieńczy idealizm wcale nie był naiwnością. Był ziarnem. Jest taka piosenka Kombii - o pokoleniu, które, inaczej niż wszystkie inne, nie rozwiewa się w cień. Myślę o niej, ilekroć wspominam swoje pokolenie, to z Sierpnia '80: bo ono naprawdę w cień nie odeszło.

Życie nauczyło mnie kilku rzeczy. Że każde pokolenie dostaje kiedyś swój moment próby - chwilę, w której marzenie zderza się z rzeczywistością, plany się walą i wydaje się, że to koniec. Że to jednak nie koniec, lecz początek: sam nieraz zmieniałem drogę i zaczynałem od nowa. Że zmiana rzadko przychodzi od razu - ziarno zasiane w 1980 roku wydało owoc dopiero po dziewięciu latach i trzeba je cierpliwie przetrwać. A nade wszystko, że ideały młodych ludzi nigdy nie są naiwne; to właśnie z nich rodzi się to, co zmienia bieg historii. Reszta - jak pokazało moje życie - jest możliwa.

Bogdan Marzewski

Artykuł napisany specjalnie dla czytelników „Wici Harcerskich Kanady" przez Bogdana Marzewskiego, autora książki "From Communist Paradise to Freedom", opartej na jego osobistych wspomnieniach z życia w komunistycznej Polsce, emigracji i budowania nowego życia w Kanadzie.

Fotografie archiwalne: ze zbiorów prywatnych Bogdana Marzewskiego. Zdjęcia wykonane przez studentów w Gdańsku na początku lat 80. XX wieku i udostępnione przez autora do publikacji w „Wiciach Harcerskich Kanady".

Więcej o autorze i książce:
www.bogdanmarzewski.com